POJEDYNEK.

Zdarzenie z czasów trzydziesto-letniey woyny.

W epoce trzydziesto-letniey woyny, wtenczas, kiedy niższa Saxonija była ciemiężona i pustoszona przez woyska bawarskie i austryackie, dzielnica wyższey Saxonii przez czas długi, używała spokoyności i bezpieczeństwa, będąc wolną od gwałtow i grabieży wojennych, przez politykę roztropną i bojaźliwą elektora Jana Jerzego. Ten nakoniec, gdy się wzbraniał odstąpić traktatu lipskiego, dziki Tilly wkroczył w jego granice; a zajęcie następne Mersburga, Neumburga, tudzież innych mieysc warownych, zmusiło elektora do zaniechania systematu zwłoki, oraz do przyjęcia przymierza i opieki Gustawa-Adolfa. To pomnożenie się sił niespodziewane, skłoniło króla szwedzkiego do działania zaczepnie, i do pochodu na Lipsk, który także swoje bramy katolickim jenerałom otworzył. Podczas tego gwałtownego przesilenia się, kiedy hasło nayścia Tillego rozsiewało trwogę powszechną w elektoracie, i kiedy bojaźń zaciekłości austryackiey, równoważyła się z nadziejami, jakie wrażali Szwedzi, byłem pastorem obszernego miasteczka B.... w Saxonii górney. Pamiątka okrucieństw Tillego w Magdeburgu, świeżo tkwiła w naszych umysłach, a trwoga mieszkańców, nakazywała im szukać schronienia, w kościele, na modłach i pobożném błaganiu. Odgłos dzwonów rozlegał się bez ustanku, a na przemiany wznosiły się ku niebu gorące modły i górne hymny z pisma świętego,

wtenczas, kiedy świéce paliły się bez przerwy na ołtarzach.

Dnia pewnego, kiedy parafijanie śpiewali hymn górny, zaczynający się od tych słów: *Pan jest wieżą potęgi*, podwoje kościelne nagle otworzone zostały, a goniec, okryty kurzawą, w mundurze elektoralnym, wpadł do świątyni. Natychmiast umilkły organy, spiewacy oniemieli, a każdy w niepokoju, zwrócił oczy na gońca w oczekiwaniu ważney jakieyś nowiny. On tym czasem postąpił szybko ku ołtarzowi, wszedł na stopnie, trzykroć chwiejąc, wzniósł czapkę ponad głową swoją, a mocnym i donośnym głosem zawołał: „Raduycie się moi naymilsi bracia! raduycie się! nasi zwyciężyli: odnieśliśmy zwycięztwo pod Lipskiem; siedm tysięcy cesarskich zostało na pobojowisku; Tilly pierzchnął: wielki Gustaw Adolf ze swojém woyskiem, złożył dzięki Bogu wszechmogącemu na polu bitwy!" Na tę wieść niespodzianą, kolana się moich parafiian zgięły, i wszystkie usta dziękowały niebu; dźwięk hucznych organów zachwiał sklepienia, a mieszkańcy kończyli hymn z oczéma zalanemi łzami, a z sercem napełnionėm uciechą i wdzięcznością.

We trzy tygodnie od tego dnia szczęśliwego, byłem sam jeden w moim szczupłym i ubogim pokoiku, z wdzięcznością ku Twórcy, rozmyślając nad pomyślnym stanem rzeczy, który ta zmiana zdawała się na przyszłość rokować, kiedy, nie uwiadomiwszy mię wprzód o tém, człowiek obcy wszedł do mojey izby, i w milczeniu, naprzeciwko mnie, usiadł. Jego wysoką postawę, woyskowy płaszcz okrywał: jego twarz była barwy czarniawey, od słońca i wpływu powietrza uległego

ustawicznym zmianom; czoło jego dragońska przyłbica okrywała. Przypatrywałem się czas niejaki temu niepojętemu człowiekowi: ale, pomimo niektórych przypomnień z dalekiey przeszłości, nayuważnieysza baczność do niczego zaspakajającego doprowadzić mię nie mogła, kiedy nakoniec uśmiéch złośliwy, który się na jego ustach ukazał, dał mi poznać mojego dawnego przyjaciela i współucznia Seiferta. Radośne wykrzyknienia: Karolu! Albercie! połączyły się z serdecznemi uściskami, i niektóremi, bez związku, zapytaniami, o naszych przygodach, od czasu ostatniego rozstania się, w Uniwersytecie L.... Zdumienie, jakiegom doznał z tego widzenia się, niemniey było pomnożone, kiedy móy przyjaciel płaszcz swóy zrzucił. W Uniwersytecie, odznaczała go wytworność klassyczna, wycmukłey, szykowney i swobodney w poruszeniach postaci; wykwintność, do pretensyi nawet zbliżona, dowcipu i obeyścia się słodycz, lękliwość i milczenie w gromadném towarzystwie; a nade wszystko zapał, namiętny prawie, do nauk. Teraz widziałem przed sobą krzepkiego żołnierza, którego żółty ubiór i pancerz stalowy, oznaczały oficera dragonów szwedzkich. Jego dawnieysza bojaźliwość zniknęła; a jey mieysce zastąpił głos mocny, żołnierska otwartość, i zimna krew, nakazująca uszanowanie; z czém jemu dziwnie było do twarzy; bo się wydawać mógł wybitniey umysł jego wykształcony rozlicznemi naukami. Winszowałem jemu tey szczęśliwey zmiany, oraz stopnia, jaki w służbie wielkiego Gustawa otrzymał.

„Nie widzę potrzeby tłómaczyć tobie, rzekł z miną człowieka znającego się na swojey warto-

ści, przez jakie koleje zostałem kapitanem dragonów. W czasach takich, jak dzisieysze, potrzeba talentów i czynności; te dwie rzeczy wynoszą w zaburzeniach, na stopnie nayznakomitsze ludzi, którzy w zwyczaynym biegu rzeczy, samiby nie wierzyli w możność zostania tém, czém są dzisiay. Przebież z uwagą, naszego i katolickiego woyska naczelników, a znaydziesz potwierdzenie tey prawdy."

To rzekłszy powstał, otworzył okno i gwiznął. Na to hasło, wchodzi Szwed wysokiego wzrostu, błękitnych oczu i włosów białych, nakrywa móy stolik sosnowy serwetą, stawi butelkę wina z dwiema szklankami i znika. Seifert napełnił dwie szklanki wyborném hocheimerskiém winem, i zawołał z wielkiém uniesieniem: „Zdrowie Gustawa-Adolfa!"

„Albercie, mówił daley, od czasu, jakem poznał tego wielkiego człowieka, przestałem zatrudniać wyobraźnię moję tworzeniem wzoru doskonałości, wyższey nad przyrodzenie ludzkie. Pierzchnęły senne marzenia, którem sobie tworzył na jawie, a móy umysł i serce górna rzeczywistość opanowała. Czegoż nie przedsięwziął i czegoż nie doprowadził do skutku, bohatér Gustaw? Nie masz na ziemi lepszego człowieka, we wszystkich znaczeniach tego wyrazu: a żaden dowódźca z czasów dawnych i dzisieyszych, tylu odmian i ulepszeń do wielkiey wojowania sztuki nie wprowadził. Półki szwedzkie składały się przed tém z trzech tysięcy ludzi, tak obładowanych i tak do poruszeń mało sposobnych, jak nasza ciężka artylerya. Zmnieyszając ich liczbę do tysiąc dwiestu ludzi, postawił ich w możno-

ści wykonywania obrótów naytrudnieyszych, z naywiększą snadnością: ruszają się dziś z natarczywym zapałem i chyżością lekkiey kawaleryi wyrównywającą. Każdy półk, cztérech chirurgów biegłych i wprawnych posiada: przed tém zaprowadzeniem, tak pełném ludzkości i tak polityczném, ranionych wśród cierpień i boleści na pobojowisku zostawowano. Nie znaydziesz nic podobnego w woysku austryackiém; a sam nawet Tilly, kiedy odniół ciężką ranę od cięcia szabli nieprzyjacielskiey, musiał posyłać po chirurga do Halli. Strzelanie plutonami, dragoński rynsztunek, działa krótkie, sięgające daley aniżeli inne, nowa pika, i t. p., są tylko cząstką małą wynalazków geniuszu Gustawa. Każdy naczelny oficer w służbie szwedzkiey, godnym jest wychowańcem wielkiego mistrza, który wojuje zimą równie jak latem, i który przez umiejętne prowadzenie oblężeń, naylepszym się swojego czasu inżenijerem okazał. Kiedy dobył w te-r... nieyszey sprawie oręża, i kiedy z natarczywością nawałnicy zbliżał się ku Niemcom, panicze woyskowi w Wiédniu, nazywali go królem śniegu, i przepowiadali, że on sam i jego hyperboreyskie woysko, stopnieją za nastaniem pierwszych upałów letnich, jak śrony północne topnieć zwykły. Mało znali się na straszliwym nieprzyjacielu, którego mieli przed sobą. Lecz Tilly baczniey-szy, potrząsał głową, słysząc te żarciki modne w salonach wiedeńskich, i rzekł: że kula śnieżna, tocząc się, może się zamienić w lawinę. Znajomość, jakiey on nabył, serca ludzkiego, pozwoliła mu przeczuć, że gorliwość i zapał świeży, jaki się przywiązuje do nowych wyobrażeń, przeważy, już spowszedniałe i zużywane uczucia. Lecz

wracając się do Gustawa, nigdybym nie skończył moich pochwał: co za wymowa! i jaki talent pisarski wydaje się w jego listach, traktatach i manifestach! Słowem, w charakterze jego widzieć można zadziwiające połączenie, nieustraszoności i zimney rozwagi, biegłości i umiarkowania, zręczności i nieskazitelney prawości. Jestto dobry mąż, dobry oyciec i prawdziwy chrześcianin. Bogdaybym wpadł w łapy starego Tillego, albo samego szatana, który jest lepszy z dwoyga, jeżeli nie jestem gotów przelać krwi mojey za niego, aż do ostatniey kropli i tak ochoczo, jak spełniam za jego zdrowie tę szklanicę dobrego reńskiego wina."

Słuchałem z coraz powiększającém się zadumieniem, przyjaciela mojego, którego ton, i sposób mówienia, tak się dostatecznie odmieniły, jak cała jego osoba. W marsowém obliczu, którém oglądał przed sobą, z trudnością rozpoznawałem, niektóre rysy młodzieńca skromnego, milkliwego i nieśmiałego, któregom znał przed laty. Jego iskrzące się oczy, stulone mocno wargi, wydawały charakter niezachwiany; słowa płynęły mu z szybkością spadającego z góry potoku; i tak zupełne odniósł zwycięztwo nad swoim wstrętem do butelki, iż w panegirycznym swoim zapale, powtórzył kilka razy zdrowie zwycięzkiego Gustawa, i nie postrzegając nawet, żem się ja szklanką jedną ograniczył.

Po rozbiorze jeszcze kilku szczegółów stanu woyskowego, podniosł się i rzekł do mnie: „Moim przedmiotem, udając się w odwiedziny do ciebie, kochany Albercie, nie tylko była chęć uściśnienia dawnego przyjaciela, ale oraz polepszenia jego

losu. Rzeczywiście, jesteś na zawsze straconym dla stanu woyskowego, ale król taki, który, ma zawsze pod poduszką dzieła nieśmiertelnego Grociusza, może ocenić, tak dobrze naukę, jak i męztwo. Tak mu się podoba książka Grociusza o woynie i pokoju, jak się Alexandrowi W. podobała *Ilijada* Homera. I często z tém się oświadczał, iż gdyby ten człowiek, ze zdolnością tak wysoką, chciał przyjąć jego względy; pierwszymby go ministrem swoim uczynił. Posiada także smak delikatny, a nawet namiętne przywiązanie do poezyi. Po poddaniu się Elbląga, lecz jeszcze przed podpisaniem ostateczném kapitulacyi, Król wszedł do miasta niepostrzeżony, i nabył sobie poemata łacińskie Buchanana. Ty, Albercie, jesteś uczonym i poetą, Gustaw lubi nauki, przy których, twoje talenta osobiste mogą ci zjednać względy wielkiego Króla i los twóy zabezpieczyć. A teraz, móy drogi Albercie, *vale et me ama!* w godzinie księżyc zapadnie, muszę koniecznie powrócić do kwatery. Leżymy obozem o półtory stąd mili, nie daleko małey mieściny R***; Król ze swoim sztabem zaymuje poblizki zamek. Odwiedź mię, pojutrze, a ja ciebie przedstawię jego wysokości *)."

To wymówiwszy, uściskał mię i zawołał swojego dragóna; przyprowadzono przede drzwi mojey plebanii dwóch rumakow, których dosiadłszy dway jezdcy, przebyli w mgnieniu oka ścieszkę prowadzącą przez cmentarz i dostali się na wielki gościniec. Noc była piękna i łagodna; księżyc

---

*) W tey epoce nie dawano jeszcze tytułu Nayjaśnieyszych Królom szwedzkim.

odbijał swoje promienie od ich stalowych pancerzy. Patrząc się na te wysokie postaci, które się oddalały nagle, i słysząc chrzęst ich uzbrojenia, zdawało się żem poglądał na rycerzów dawnego czasu, którzy się udawali na szukanie przygod nocnych.

W poranku dnia tego, kiedym miał bydź przedstawiony wielkiemu Królowi, uczułem tajemną chętkę przystrojenia człowieka zewnętrznego, i przebierałem z niespokoynością moję nędzną garderobę. Niestety! naylepsza moja suknia, bardziey się szarą niż czarną wydawała; a chcąc ją, za pomocą szczotek i miotełki przywrócić do dawnéy barwy, odkryłem więcey plam mglistych, więcey dróg mlecznych, niż kiedykolwiek astronom naybiegleyszy, mógł ich dostrzédz przez swóy teleskop. Ważąc się na obrażenie nawet węchu królewskiego, mnóstwo tych systematów niebieskich zgładziłem za pomocą terpentyny: z czapki czarney zrobiłem nową za pomocą piwa grzanego; nakoniec wziąwszy kiy w rękę udałem się ku szwedzkiemu obozowi. O pół ćwierci mili od miasta, napotykałem gromady żołnierzy, przed namiotami i przed chałupami siedzących. Ludzie ci wszyscy, mieli dobrą minę, dobrze byli odziani, i spokoynie się zachowywali. Objawiłem zaproszenie Seiferta wyższemu oficerowi, który mnie się pytał, po co się zbliżam do obozu. Obszedł się ze mną ze względami należnemi mojemu świętemu powołaniu, i uwiadomił mię z grzecznością, że móy przyjaciel mieszkał niedaleko bramy zamkowey. Spodziewając się na serdeczne przyjęcie Seiferta, nie pomału zdumiony zostałem odmianą, jaką znalazłem w jego twarzy i w jego po-

stępowaniu. Siedział ze złożonemi na krzyż rękami i z czołem posępném; nic nie odpowiedział na moje przyjacielskie przywitanie, a nawet, tęgo, że postrzegł moje przybycie, ani gestami, ani wzrokiem nie okazał. Nakoniec rzekł do mnie zimno: „Dzień dobry Albercie; proszę mi darować, ale nie sądziłem, żem ciebie na dziś zaprosił.”

Lecz w chwili, wyraz surowy jego rysów przybrał słodycz i serdeczność; powstał ze swojego siedzenia, porwał mię za rękę z czułością, i z widoczném wzruszeniem zawołał.

„Jednakowo, dobrze zrobiłeś żeś przyszedł, albowiem jutro, możebyś nie znalazł mię w życiu.

— Wielki Boże! zawołałem; co za nieszczęście spadło na ciebie? Czy nie straciłeś przez jakie uchybienie względów królewskich?

— Przeciwnie, odpowiedział z uśmiechem, szczególnieyszym twarzy wyrazem odznaczonym, Król mi wyświadczył, wyłączną i bezprzykładną łaskę.”

W tém zamknąwszy drzwi swojey izby zaczął niższym tonem: „Każdy człowiek ma swoję słabą stronę, a nawet wielki Król jest człowiekiem. Słabością naszego Króla bohatera, jest zbyteczne nabożeństwo. On jest wodzem i razem arcy-kapłanem w swojém woysku: niemasz starca nabożnego, któryby więcey poświęcał czasu, na modlenie się, płakanie, i śpiewanie psalmów. Wierzę jak nayszczerzey, w rzetelność jego gorliwości; albowiem, niepodobieństwem jest, ażeby wielki Gustaw Adolf poniżył się aż do hipokryzyi. Ale z pomiędzy wielu rozmaitych urządzeń, mało przystoynych woyskowości, które powstały

z tego eutuzyazmu religiynego, zakazał on pojedynkow pod karą śmierci.”

Tu chciałem mu przerwać: „Proszę mi darować Albercie! wiem wszystko cobyś mógł powiedzieć; wiem, że jako duchowny, powinieneś bronić tego postanowienia Gustawa: ale królowie i słudzy ołtarza, są to ludzie uprzywilejowani. Ostatnim, nie wiele na punkcie honoru zależy; lecz kiedy król jest obrażony, wydaje woynę, i uzbraja naród przeciwko narodowi. I tak, cóż innego jest bitwa lipska, jeżeli nie pojedynek Gustawa-Adolfa z Ferdynandem, albo raczey z Maxymilijanem bawarskim? Winienem mu jednak oddać sprawiedliwość, i oświadczyć, iż raz przecie, surowość tego prawa zwolnić raczył, pozwalając mi sprobować się z kapitanem Bastromem; ale pod warunkiem, iż pojedynek odbędzie się w zamkowey sali baronialney, i że sam król ze swoim sztabem głównym będzie tam obecny. Galerya otwarta zostanie dla publiczności; ja ci wynaydę dogodne mieysce i towarzysza roztropnego; a tak będziesz miał rozkosz oglądać, jak potrafię korzystać z łaskawego pozwolenia królewskiego, dla skarcenia pychy i grubijaństwa mojego przeciwnika. Ty Albercie, biegły jesteś w starożytności klassyczney: możesz więc sobie wystawić, że jesteś obecny gladyatorom bijącym się aż do śmierci; albowiem pojedynek zakończyć się powinien którego kolwiek zgonem. A przez wdzięczność za to widowisko, jakie tobie nastręczam, dodał z uśmiechem nic nie dbającego człowieka, potrzeba, ażebyś się zobowiązał, odprawić nabożeństwo żałobne, jeżeli polegnę, i ułożyć dla mnie nagrobek łaciński w harmoniynych

hexametrach. A teraz żegnam ciebie, móy kochany Albercie! Potrzeba ażebym się przygotował wystąpić; albowiem, byłoby to uchybić etykiety, grając tragedyą przed widzami tak wysokiego stopnia, bez zupełnego ubrania.

— Osobliwszy człowieku! zawołałem z niecierpliwością, mówisz mi o bitwie śmiertelney, jak gdybyś rosprawiał o biesiadzie! zaprzestań tey lekkości światowey, a powiedź mi otwarcie, jaka jest natura tey urazy, która ofiarą tylko życia ludzkiego, może bydź zgładzona?

— Wczora w wieczor przy stole, odpowiedział, Bastrom nazwał mię samochwałem niemieckim, jam się mu wypłacił za tę uprzeymość mianując go szwedzkim niedźwiedziem. Wyzwanie się na śmiertelny pojedynek było wypadkiem tey zobopólney grzeczności: otrzymaliśmy pozwolenie królewskie; a dzień dzisieyszy pokaże, czy niedźwiedź, da uczuć swoje pazury samochwałowi, czy też samochwał nauczy tańcować niedźwiedzia."

Po tym żarciku woyskowym, wyszedł z pokoju, i powrócił zaraz w towarzystwie oficera niższego stopnia rodem Sasa, człowieka już podeszłego w latach; na którego fizyognomii bystrość i przenikłość, czytać można było. Temu poruczył on, ażeby mi towarzyszył aż na galeryą sali zamkowey, i wyszukał dla mnie wygodnego mieysca. Osłupiały tą nowiną opuściłem mieszkanie Seiferta, i zbliżałem się ku zamkowi z niemém udręczeniem. Móy towarzysz spóyrzał na mnie ze złośliwą miną, i rzekł mi ofiarując tabaczki. „Wszystko to Mości Dobrodzieju musi WCPana zastanawiać! i mnie zastanawia także, chociaż ja więcey pięciu-

dziesiąt lat żyłem, i niecom korzystał z okoliczności. Może WCPan, któryś się uczył w uniwersytecie, potrafisz mi wytłumaczyć; dla czego nikt nie lubi, ażeby go nazywano po imieniu. Od roku znam kapitana Seiferta; widziałem go na polu bitwy, i Bóg wie czy on lepiey szablą, czy językiem szermuje, co nie jest zaiste małą pochwałą: albowiem, przewyższa on wielu ludzi, swoim dowcipem i swojemi wiadomościami. Z tém wszystkiem, ja utrzymnję, że on ma nieco samochwalstwa. Kapitan Bastrom także jest człowiek wspominany ze swojego męztwa, miał nawet niegdyś szczęście ratować życie królewskie, ale w obeyściu się swoiém, jestto dziki niedźwiedź. Po co gniewać się za to nazwisko niedźwiedzia szwedzkiego, tak dobrze znaczące? To jest, co mię zastanawia i czego ja zgoła nie poymuję."

Postępowałem za moim przewodnikiem przez galeryą, napełnioną tłumem mieszczan, który wszakże rozstąpił się dla dania mnie z towarzyszem wolnego przeyścia; i dostaliśmy się na mieysce, z którego plac bitwy mogliśmy dostatecznie oglądać. Straż królewska, czoło woyska, w ubiorze światło-błękitnym, w pancerzach stalowych, w podwóynym szeregu plac ten otaczała: ich siekacze doskonale wypolerowane, rzucały blask żywy z wierzchołka długich i czarnych drzewców, na które nasadzone były.

,,Zdaje mi się, rzekłem do mojego towarzysza, że ten piękny oddział woyska, jest z upodobanego półku królewskiego? — Gustaw jest oycem wszystkich swoich żołnierzy, i jakkolwiek niepodobną do wiary rzeczą może się to wydawać, zna on osobiście, prawie każdego Szweda, służącego w swo-

jém woysku. Do wielu z nich przemawiał i każdego nazywał po imieniu. Całe woysko szwedzkie, tak jest porządnie opatrzone, jak to, które oglądasz. Pod tym względem, wspaniałomyślny Gustaw bardzo się różni, od *Kaprala Kościotrupa*, jak on nazywa zawsze Tillego.

Stary jenerał bawarski utrzymuje, że muszkiet czysto wypolerowany, i żołnierz w łachmanach, nie robią sobie bynaymniey krzywdy. Król szwedzki przeciwnie, dba o zdrowie i o byt dobry swoich żołnierzy w powszechności, i w tey mierze żadnego pierwszeństwa swojey gwardyi nie daje. Słyszano go często mówiąc, że pokłada swoję ufność nie w straży bokowey, ale w bozkiey opatrzności."

Pod czas tey rozmowy, sala ciągle się napełniała oficerami, w mundurach szwedzkich i saxońskich. Znagła, brzęk uderzających się broni i wrzawa rozmów ucichła: a po nich nastąpiło milczenie głębokie i pełne uszanowania. Podwoje rozwarły się na ościeź, a z sercem żywo wzruszoném, i z oczyma, którém zmordował ustawiczném natężaniem, czekałem chwili, w którey mógłbym wielkiego Gustawa oglądać. Człowiek wycmukły wszedł do sali, cienki był, ale krzepki razem. Czoło miał wspaniałe i zastanawiające, brwi gęste, a nos zakrzywiony, nakształt dziobu orlego. Charakter dowcipu i dobroci, czytać można było na jego twarzy: blask żywy jego oczu, głęboko wklęsłych pod czołem, łagodził wyraz lekki melancholii. Ukłonił się na prawo i na lewo z poważną uprzeymością, postąpił ku wyższey części sali, i stanął ze złożonemi na krzyż rękami z o-

kiem niewzruszoném, obcém widocznie obecney scenie.

„To musi bydź osoba wysokiego znaczenia, rzekłem, ale nie król bynaymniey. Słyszałem bowiem, że Gustaw-Adolf ma twarz pełną, otwartą i wesołą. Ten oficer, odpowiedział móy przewodnik, jest prawą ręką królewską, to Gustaw Horn, którego się dywizya z Tillym, w rozprawie lipskiey ucierała. Jest on razem i biegłym jenerałem i zacnego charakteru człowiekiem. Mógłbym przytoczyć tysiące rzeczy, które czynią zaszczyt jego ludzkości. — Ale pocóż, rzekłem, ten wyraz smutku rozlany po jego twarzy?

— Utracił niedawno z zaraźliwey gorączki piękną i cnotliwą żonę z dwoygiem dzieci, których kochał nad życie; długi czas, ich ciała, pozbawione życia, trzymał w swoich objęciach, a nakoniec w trunie okutey srebrem, odesłał te drogie ostatki, osób naymilszych, do Szwecyi. Ale patrz, oto kanclerz Oxenstiern, ta wyniosła i okazała, obok jenerała Horna, postawa. Uważay jego piękną fizyognomią otwartą; jest to właśnie, co Włosi nazywają *viso sciolto*. Nie jestci to Kardynał *Richelieu* ani *Machiawel*, a jednakże djabelską przebiegłość posiada. Jego charakter jest słodki i spokoyny; w nim dowod bez odpowiedzi znaydujemy, że człowiek uczciwy, może bydź biegłym i zręcznym politykiem. Patrz, z jaką serdecznością ściska rękę swojego zięcia i stara się go pocieszyć. Małżonką Gustawa Horna była jego nayukochańsza córka; lecz on się jawnie z ciężką boleścią swoją nie wydaje. Król, który jest charakteru żywego, chociaż się powściąga, nie mógł ukryć swojego zadumienia, nad tą, szczegól-

nieyszą spokoynością w tak ciężkiém doświadczeniu, i nazwał go zimney krwi człowiekiem. Cóż myślisz, jak na to odpowiedział kanclerz? — „Królu! gdyby moja krew zimna, nie miarkowała niekiedy twojego wrzącego zapału, mógłby się zająć pożar niepodobny do ugaszenia.” Gustaw nie wahał się uznać prawdę tey uwagi; nikt na dzień w Szwecyi, nie ocenia słuszniey spokoynego rozsądku Oxenstierna, i wysokiey jego biegłości. Gdyby kanclerz miał żywszy charakter, w miarę tego, straciłby to panowanie nad sobą samym, które go postawiło w możności, czynić tak znakomite posługi swojemu królowi i swojey oyczyznie. Ale spóyrzyyno teraz na tego młodego wojaka, który szybko przebywa salę; oto na tego, co mu włosy w pierścieniach spadają na czoło, stosownie do nowey mody, zamiast, coby miały bydź podniesione w górę, nakształt lwiey grzywy, równie u Gustawa i u kanclerza.

— Ach! zawołałem, to móy zacny xiążę, Bernard Weymarski. Częstom go napotykał, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi, na stopniach wieży Lutra przy Eizenach, i zawsze mię zaszczycił przyjacielskiém powitaniem. Owoż w całey sile piękności mężkiey; i jeżeli umiém dobrze czytać, w jego twarzy niecierpliwey i w iskrzącém się oku, musi to bydź człowiek z charakterem popędliwym i dumnym.

— Tak, odpowiedział Saxończyk. Jest on młody i bez doświadczenia, ale w nim kryją się zarodki drugiego Gustawa. Uważay, z jaką żywością zbliża się do jenerała Horna i jak go serdecznie uściska. Jenerał wiele ma prawa do szacunku tego burzliwego młodzieńca, który na polu bi-

twy kilkakroć śmiał powątpiwać, o przydatności rozporządzeń weterana. Nakoniec uznał swoje błędy i umiał je nagrodzić, okazując się żołnierzem przykładnym, przez swoje uszanowanie i uległość rozkazom naczelnika.

— Któż jest ten oficer z twarzą poważną, co to wszedł teraz, i którego wszyscy tak uprzeymie witają?—Ach! Mości Panie! zawołał starzec, widzisz w nim przykład uderzający korzyści, jakie ma woyna nad pokojem, a mianowicie w służbie szwedzkiey. W czasach spokoynych, wyższa wártość tego człowieka, nie wydobyłaby go z cienia. Jestto pułkownik Stahlhatsch, rodem z Finlandyi. W młodości służył za pacholika, a teraz jest przyjacielem xięcia Bernarda i równy mu co do stopnia. Jest to człowiek bardzo zdatny; między innemi zaletami, posiada doskonale język angielski. Nauczył się go w służbie *Sir Patricka Ruthwena*, a ta umiejętność, postawiła go w możności stania się przydatnym samemu królowi, który mówi po niemiecku, po francuzku, po włosku i po łacinie, ale nie rozumie angielszczyzny.

Tu huczne okrzyki tłumu zgromadzonego na dziedzińcu, przerwały mowę mojemu towarzyszowi. Natłok był niezmierny, a jednak żaden żołnierz nie zatrudniał się ułatwianiem przeyścia dla króla i jego orszaku. Lud okazywał widocznie, iż znał się na wartości tego pobłażania, albowiem, wszyscy z odkrytemi głowami, usuwali się pełni uszanowania, w miarę, jak monarcha postępował. Wtenczas postrzegłem człowieka nieco otyłego, w odzieniu szarém, z piórem tegoż koloru u kapelusza, jechał na dzielnym rumaku, pysznie kark noszącym, w plamy białego

koloru. Nie widziałem potrzeby, ażeby mię uwiadomiono, że to był wielki Gustaw.

Patrzay, zawoła Saxończyk, jak powolnie zbliża się na dziedziniec, lęka się, ażeby jego piękny rumak, nie okaleczył którego z tych swawolnych dzieci, które bezustanku przebiegają wpoprzek drogi: a ponieważ ma wzrok krótki, łokciem więc sobie oczy zasłania.

— Królewski ubiór jest nader prosty, rzekłem; człowiek, którego przyrodzenie tak uposażyło i odróżniło od innych ludzi, nie potrzebuje pomocy od ubioru, ażeby się wydał korzystniey. Rysy jego twarzy są piękne i pełne powagi. Lecz chociaż urodziwy i okazały w swojey osobie, zdaje się mieć zanadto ciała.

— Ani jedney uncyi niema go zawiele, odpowiedział tonem porywczym, starzec; nie jest cięższym od walecznego Karola W. ani od Rolfa założyciela bogatego normandzkiego państwa: co zaś do czynności ciała i umysłu, przynaymniey jest im równy."

Niechcąc rozjątrzać tego zapalonego stronnika Gustawa, wdawaniem się z tey okazyi w dysputę, zwróciłem szczególnieyszą baczność na królewskiego konia.

„Piękny koń, odpowiedział mi, jest on ulubioném cackiem Gustawa, który, oddając się swojemu w tey mierze upodobaniu, naraził nieraz życie, od którego los wielu milionów ludzi zależy. W każdém zdarzeniu, nawet w czasie bitwy na czele woyska, zawsze ma upodobanie dosieść konia, którego łatwo jest rozróżnić od innych. Kilku dniami przed bitwą lipską, pewny handlarz przyprowadził do obozu bardzo pięknego

jezdnego konia, barwy nadzwyczayney. Byłto szpieg wysłany przez Austryaków, którzy pewni byli, że Gustaw na tym rumaku wystąpi, i stanie się dla ich wystrzałów celem łatwym do postrzeżenia.

— Ktoż to jest ten jenerał, coto ma plecy szerokie i brunatną cerę?

— Ten człowiek całkiem złożony z kości i z muszkułów, odpowiedział móy towarzysz, jest to pełen rycerskiego ducha Bannier, nayodważnieyszy z wojowników, niewzruszony, jak wieża, w czasie naynatarczywszey rozprawy: żołnierze rozproszeni i w nieładzie, jednoczą się około niego, on ich sprawia nanowo w rządne szyki, prowadzi do bitwy i do zwycięztwa: jego szlachetna nieustraszoność, bydź musi WPanu znajoma. Ale jakże żałuję, że nie mogę tu pokazać także nieustraszonych wojowników, Kollemburga i Teufela! Niestety! polegli na polu chwały pod Lipskiem!"

Podczas tey rozmowy, król wszedł do sali, i na podniesieniu, w końcu jey, umyślnie na to przysposobioném, usiadł; przy jego boku stanęli, kanclerz i jego oficerowie. Natychmiast piękny i żywy marsz, którym powitano Gustawa, ucichł; król dał znak orkiestrze, a dęta muzyka rozpoczęła ten marsz żałobny, tak tkliwy i tak uroczysty razem, który się gra zwykle, kiedy oficera skazanego na śmierć, na plac exekucyi prowadzą. Wielkie podwoje rozwarły się na nowo, i uyrzano dwie czarne truny niesione zwolna i zgodnie z taktem muzyki przez żołnierzy. Za nimi szedł człowiek wysokiego wzrostu, surowey, i pospolitych rysów twarzy, z odkrytą głową, u-

biór jego był czerwony, przykrywający do połowy tylko miecz błyszczący się, szerokości niezwykłey, podobnieyszy do narzędzia chirurgicznego, niż do oręża. „Co to ma znaczyć?” zapytałem się z żywością u mojego towarzysza, który aż do tego czasu odpowiadał na wszystkie moje zapytania, ze szczególnieyszą przenikłością i dowcipem, używając języka wyższego, nad stan swóy pozorny. Nie odwracając nawet swoich oczu niespokoynych od widowiska, które miał przed sobą, odpowiedział mi krótko: „To są dwie truny, a ten człowiek w ubiorze czerwonym, jest katem.” Truny zostały postawione w dwóch kątach sali, kat usunął się poza straże, muzyka ucichła, a Gustaw mówił z godnością, nakazującą uszanowanie, spóyrzeniem, głosem i postawą: czego wszystkiego ja nigdy zapomnieć nie mogę.

„Żołnierze i przyjaciele! rzekł: wiecie, iż po dóyrzałey rozwadze z moimi radźcami i jenerałami, zakazałem pojedynku w mojém woysku pod karą śmierci. Waleczni woysk moich naczelnicy, uznali wszyscy słuszność tego rozporządzenia; a ich jednomyślne zdanie było, iż nie zachodzi żaden istotny związek, między pojedynkiem a rzetelnym honorem; nieprzyjęcie sumnienne bitwy pojedyńczey, zgadza się dostatecznie z męztwem bohatyrskiém, i z wysokiém zacności uczuciem. Wojownik powinien się jąć oręża w sprawie słuszney; przeciwnie jego odwaga nic nie znaczy: równie, jak hafty jego munduru, które są ozdobą, nie zaś cnotą. W śrzednich wiekach, zwyczay pojedynków może był i użyteczny, dla zapobieżenia wielkim nieszczęściom, które z niedostatku praw powstawały: przyznać należy, iż

dzikość obyczajów rycerskich, zacne częstokroć poświęcenie się nadgradzało. Przenieśmy rzeczywistość nad pozor, i staraymy się postępować na wzór naszych przodków, zamiast niewolniczego kopijowania ich płochości i romansowego ich dziwactwa. Czasy nieładów rycerskiego wieku, już dawno przeszły: w całey Europie chrześciańskiey poformowały się rządy stałe, i właściwe im prawa, które, chociaż nie zupełnie jeszcze są dostateczne, zapewniają wszakże bezpieczeństwo rzeczom i osobom. Dla czegożby ludzie cywilizowani, ku dzikim zwyczajom epoki barbarzyńskiey cofać się mieli? Dla czego my sami wzięliśmy się do oręża przeciwko nieprzyjaciołom naszym? Jeżeli nie stąd, że oni przeszkadzali nam żyć spokoynie, i używać owoców właściwey dzisieyszemu wiekowi cywilizacyi, pod którey natchnieniem, zbawienne się odmiany w instytucyach zaprowadziły? — Może ktoś z was utrzymywać zechce, że pojedynek przydatny jest do karności i do obyczayności towarzyskiey; ale któż mi dowiedzie, że oficerowie służący w szeregach wrogów naszych, którym się bezkarnie pojedynkować wolno, wytrzymają porównanie z moimi, tak w obeyściu się przystoyném towarzyskiém, jako też w ścisłości, co do obowiązków służby? Godzi sięż przywiązywać jakąkolwiek cenę do tey nikczemney uprzeymości, którey daje początek bojaźń śmierci? Wierzaycie mi, Mości Panowie! że w woysku porządném i karném, zawsze jest większa liczba ludzi zacnych, których grzeczność ma siedlisko w dobroci serca; grubijaństwo tam, jest rzadkim od powszechnego prawidła wyjątkiem, i zawsze wstręt na siebie, połączony ze

wzgardą zasłużoną, ściąga. Po co ludzie doznanego męztwa, mieliby szukać lekarstwa tak gwałtownego, jak bitwa na śmierć, za krzywdy prawie zawsze urojone?"

Tu Gustaw zawiesił mowę, i zwrócił orle spóyrzenia na junaków, którzy stojąc wśrzód sali z twarzą posępną trzymali na krzyż złożone na piersiach ręce. Zdawali się unikać tego wzroku badawczego i przenikającego; wzrok ich poszedł na dół, a sumnienie występne okryło ciemną czerwonością ich czoła i ich policzki. Król mowca prowadził rzecz daley:

„A przecież, oglądamy tu dzisiay dwóch oficerów doznaney waleczności, którzy poszli za tém błahém i lichém natchnieniem, i którzy pochlebiają może sobie, że ich skwapliwość w narażeniu życia, wzbudzi podziwienie i oklaski powszechne. Przyznawałem im dotąd, lepsze głowy i lepsze serca, i boleję nad ich obłąkaniem. Są ludzie, których charakter tak jest srogi i dziki, iż mimowolnie zdradza ich powinowactwo przyrodzone z tygrysem i hyeną; pychy ich nie uszlachetnia żadne zacne uczucie, a odwagi żadna wspaniałomyślność nie znamienuje: tacy nic wspólnego z rodzajem, do którego zdają się należeć nie mają: znaydują oni okropną rozkosz, w narażaniu własnego życia, byleby tylko zgubić tego, któremu zalet osobistych, albo też szczęścia zazdroszczą. Składam dzięki Wszechmocnemu, że ten duch szatański nie bierze góry w moiém woysku; jeżeliby nieszczęściem ozionął on niektórych moich żołnierzy, pozwalam im udać się do obozu czeskiego, do Tillego, do Wallensteyna."

Jenerałowie szwedzcy spóyrzeli na siebie wza-

jemnie ze szlachetném uczuciem pociechy, a xiążę Bernard Weymarski, którego wzrok iskrzył się od radości, postąpił krokiem ku królowi, jak gdyby chciał wyrazić swoje uczucie przez serdeczne uściśnienie. Hamując wszakże z widocznym przymusem to nagłe poruszenie, powrócił na swoje mieysce. Król spóyrzał na swojego kanclerza z twarzą przyjacielskiego porozumienia się i mówił daley w sposób nieco łagodnieyszy:

„Zapewne, Mości Panowie, obwiniacie mię o sprzeczkę z sobą samym, mnie, który przystałem na publiczny pojedynek, po zabronieniu go tak uroczystém. Atoli wiedzieć należy, iż pojedynek dzisieyszy zawiera w sobie szczególnieysze okoliczności; dla ich to wytłumaczenia i dla osobistego usprawiedliwienia się zgromadziłem was na to mieysce. Oficerowie, których przed sobą widzicie, Bastrom i Seifert, mają sławę zacnych ludzi, sławę, którey sprawiedliwie dostąpili. Bastrom w wielu zdarzeniach dowiódł więcey niż bohaterskiego męztwa; w woynie polskiey ocalił mi życie, kiedym był z odkrytą głową i otoczony nieprzyjaciołami, właśnie tuż potém kiedy Sirot strącił mi z głowy szyszak, który posłano jako łup zwycięzki Nayświętszey Pannie Loretańskiey. Zaszczyciłem Bastroma dostoynością rycerską na polu bitwy; a ufny w jego dobrém sercu i w jego umiarkowaniu, przyrzekłem nieodmawiać mu pierwszey prośby jaką do mnie zaniesie. Właśnie upomniał się o dotrzymanie danego sobie słowa, nalegając, ażebym mu pozwolił bić się z kapitanem Seifertem.

„Seifert ukształcił swóy nieustraszony charakter w Uniwersytetach niemieckich i szczęśliwie

mu się to powiodło, jeżeli mamy sądzić z czynow dzielnych, które mu zjednały stopień kapitana na pobojowisku lipskiém. Starał on się, cytacyami greckiemi i łacińskiemi przekonać mię, żem się powinien zgodzić na ten pojedynek; lecz nietrudno mi było, przywieść świadectwo starego Homera, ażeby okazać, iż Grecy nie byli tak bardzo drażliwi względem punktu honoru: Achilles naprzykład, nazywa Agamemnona opilcą z psiemi oczyma a z sercem łani. Seiferta jednak niezachwiała żadna powaga, ani klassyczna, ani chrześciańska: rozum u niego bije czołem przed bałwanem fałszywym punktu honoru: przed tym śrzednich wieków Molochem, około którego, rycerze owey epoki, kręcili się aż do zawrotu głowy i do utraty możności rozróżnienia dobrego od złego.

„Uroczyście zobowiązany niepodobnémi do pogodzenia z sobą powinnościami, jakże mogłem się wydobydź z położenia tyle kłopotliwego? Wyczerpałem wszystkie moje śrzodki przekonywania i dowodzenia, i nie potrafiłem pojednać zawziętych przeciwników. Obietnicy daney Bastromowi, nie mogłem cofnąć z honorem: a nie powinienem także naruszać zbawienney ustawy od tak dawna wprowadzoney. Na szczęście, śrzednia mi się pozostała droga. Ci ludzie obłąkani postanowili bić się, i jeżeli można na śmierć się pozabijać. Zgoda! Stanie się zadosyć ich dzikiey skłonności. Teraz, Mości Panowie, do mieczów! nieoszczędzaycie się bynaymniey; biycie się aż do póty, póki śmierć jednego z was udowodni, że drugi sprawniey robi orężem. Lecz wiedzcie co potém nastąpi: jak tylko jeden z was polegnie, kat strąci głowę drugiemu. A tak i ja danego Bastro-

mowi dotrzymam słowa, i prawo przeciwko pojedynkom nienaruszone zostanie."

Kiedy Król zakończył tę mowę pełną filozofii chrześciańskiey, ale która przez długość swoję, trąciła może nieco, gustem wrodzonym temu Monarsze do kapłaństwa, a nade wszystko do kaznodzieystwa, orkiestra na nowo, rozpoczęła marsz żałobny; truny przyniesiono bliżey do współzawodników: i kat wystąpił na widok ze swoim straszliwym orężem. W tey przerażającey chwili, widziałem jak Seifert i Bastrom, w gmnieniu oka, jednostaynném natchnieniem prowadzeni, rzucili się do stóp Gustawa, prosząc o przebaczenie.

,,Przebaczenie wasze, jest w waszém ręku, odpowiedział Król łaskawie, jak tylko orkiestra umilkła. Kiedy się nie będziecie bili, mistrz nie będzie tu miał roboty." Te słowa połączone były ze spóyrzeniem na kata, który, natychmiast przez drzwi boczne, oddalił się z sali. Lecz jeżeli szczerze pragniecie pozyskać szacunek zacnych ludzi i dobrych chrześcijan zgromadzonych na tém mieyscu, odstąpicie wszystkich uczuć niechęci, i będziecie się, jako bracia uściskali.

Wojownicy rzucili się wzajemnie, jeden w objęcia drugiego. Gustaw, w pobożnym zapale, podniósł ku niebu złożone ręce i swoje czoło królewskie, a kanclerz skinął na orkiestrę, ażeby grała piękny hymn, o zgodzie i miłości braterskiey. Słuchałem z rozkoszą niewypowiedzianą, jak Król, Oxenstiern, Horn, Bannanier, Stahlhautsch, Xiążę Bernard, oficerowie, i straż cała, z przedziwną zgodą śpiewali te bozkie rymy. Wspaniały bass Gustawa-Adolfa, łatwo można

było rozróżnić pomocy i pełności przypominające organy. Podobny on był do uroczystego tonu śrebrney trąby: i chociaż czterdzieści już lat przebiegło nad moją głową od tego czasu, dzwięcznie i wspaniałe śpiewanie królewskie, brzmi jeszcze w moiey pamięci.

To bogoboyne uczucie, rozlało się po całey sali i galeryi, i kto tylko mógł śpiewać, nucił z zapałem hymn święty: Móy nawet stary Saxończyk, którego głos nieprzyjemnie był chrapawy, dobył z kieszeni książkę zawierającą pieśni, i okulary miedziane. Śpiewanie jego było drżące i niezgodne; ale, zdaniem mojém, nieudolność jego muzykalną nadgradzały sowicie, łzy w obfitości płynące, po zapadłych i zmarszczonych policzkach.

Tak więc, ta okropna scena wojenna przeobraziła się, jakby cudem, w uroczystość pobożną, która, bez wątpienia, miłą była Wszechmocnemu. Taki szczęśliwy koniec, któregom się naymniey spodziewał, znamionuje wyraźnie to woysko religiyne i bitne razem, które wielka dusza Gustawa ożywiała.

PAN PODSTOLIC.

albo

Czém jesteśmy, czém być możemy.

(Wyjątek z romansu administracyynego ogłoszonego na prenumeratę przez E. T. Massalskiego *).

Rozdział pierwszy.

Wstęp i aręndarz.

Wy, milsze memu oku nad Rzymianów gmachy,
Witaycie nizkie domki z słomianemi dachy,
Stara ma z wami przyjaźń: w pierwsze życia lata,
Gdym nie znał oczu Emmy, ani burzy świata,
A od samego świtu, po nocy nastanie,
Śledzić chytrego lisa, albo ścigać łanie,
Całe me było szczęście i całe zabiegi;
Po takich wtedy domkach miewałem noclegi.

A. Gorecki. *Powrót do oyczyzny.*

Na pamięć niegdyś uczyłem się w retoryce, że, przedsiębiorąc rzecz do publiczności, zaraz na początku należy się starać jey uwagę i pobłażanie zjednać. Świętey pamięci nauczyciel móy wymowy, objaśniając to prawidło, dowiódł oczywiście, że w tym razie naylepiey udaje się pochlebstwo; które, chociażby nayhoyniey szafowane, bynaymniey grzechem nie będzie tu żadnym ; owszem, gdy, podawane jak słodycz na brzegu kubka z lekarstwem , nęci do przyjęcia prawdy niekiedy cierpkiey; przeto, dla łaskawego czytelnika przynosząc pożytek, dla chrześcijańskiego pisarza zamienia się w obowiązek.

*) Cena prenumeraty za exemplarz rubli 4 srebrem.

Zamierzyłem w tém piśmie skreślić kilka rysów teraźnieyszego stanu Litwy i Białeyrusi; tudzież kilka obrazów błogiey pomyślności, do któreyby, jak mniemam, te prowincye przyyść mogły, gdybyśmy ku temu celowi zwrócili nasze dążenie. Pan Podstolic, bohater mey sceny, żołnierz od młodości, jak o tém czytamy w opisaniu jego oyca P. Podstolego, w ciągu przeszłych wojen zwiedziwszy wielką część Europy, przypatrzył się obyczajom i pomyślności obcych narodów, powróciwszy do oyczyzny wiele pożytecznych rzeczy w swych dobrach z korzyścią zaprowadził, byt swoich włościan i własny znacznie polepszył, przykładem swoim sąsiadów pobudził do naśladowania i wszystkim spółziomkóm chętnie przekłada, jakie środki do ogólney pomyślności kraju zdają się mu naywłaściwszemi.

Ale ta okoliczność, że P. Podstolic nigdy nie był ani dworakiem, ani palestrantem, poniekąd nabawia mię trwogi: w obu albowiem stanach swego życia, surowey nawykłszy prostocie, i ze swego stanowiska teraz uważając spółziomków, nie raz może się odezwać z gorzką przymówką i czytelników mi zniechęcić.

Czuję, że, naybardziey na to pamiętając, powinienbym na wstępie szczególnieyszey przyłożyć usilności, ażeby, nie tylko pobłażającą uwagę mych czytelników jedwabnemi słowy zniewolić; ale też mogącą się obrazić ich miłość własną należnemi pochwały wynadgrodzić.

Tym czasem z drugiey strony mam to na baczeniu, że dogodzić wszystkim nie dano człeku; zwłaszcza tym *wszystkim*, dla których piszę: to jest moim spółbracióm, szlachcie osiadłey, mającey

prawo do wyborów; dla którey, choćbym zapisał kilkanaście arkuszy pochwał różnych a różnych, mógłbym, zamiast łaskawego uśmiechu i pobłażania, zarobić nie na jednę kwaśną minę, nie na jedno przeklęstwo Autora i Cenzorów i niewinnego xięgarza. Niektórzy bowiem, przez wrodzoną skromność wzięliby za złe, gdybym im przyznawał roztropność i przezorność w stosowaniu się do czasów; drudzy gniewaliby się za wstręt do leniwstwa, inni za wyższość nad próżność i dumę; ci za korzystanie z nauk i choć z obcych wynalazków; tamci za ludzkość ku biednym poddanym, a wszyscy bezczelnym okrzyknęliby mię kłamcą, gdybym przebęknął, że mają pieniądze lub do ich nabycia sposobność.

Tak między młot a kowadło dobrowolnie wpadłszy, nie widzę innego środka jak wybiegiem się ratować. Bonifacy Opanowicz, pierwszy móy niegdyś dyrektor, w wielkim raz był kłopocie, gdy przed Nowym Rokiem chciał mi powinszowanie rodziców ułożyć. Myślił przez tydzień czego właściwie mam życzyć drogim rodzicóm. Myślił i myślił naprożno: wszystko, co mógł wymyślić, było jeszcze mało. Przyszedł dzień uroczysty: móy staruszek w rospaczy: jest prolog, jest epilog, Feby i Centaury; ale życzeń nie staje. Wybiła godzina, trzeba iść. Jak tu świecić oczyma? Ale szczęście, powiadają, znienacka przybiega. Przed progiem jeszcze się zatrzymał, oparł wzrok na progu i nagle: —Jest! znalazłem! — Klasnąwszy w dłonie, wykrzyknął. — Prawda, wielka prawda. Życz synu, czego sami sobie życzyć mogą.

Naśladując tey nauce, proszę moich czytelników, aby zaraz w témże mieyscu, na czas podług

upodobania długi, raczyli złożyć tę xięgę, i w duchu rozważyli, z czegoby można było ich pochwalić. Mówią, że taki z sobą rachunek nigdy nie może być bez pożytku; ja zaś, troskliwy o względy moich czytelników, zaręczam słowem szlacheckiém, że wierny, w pamięci ugruntowanym retoryki prawidłom i nieboszczyka nauczyciela mego wymowy objaśnieniom, na wszystkie pochwały, jakie tylko każdy z moich czytelników sam sobie przyznać może, chociażby były naywiększém podchlebstwem, bez żadnego *ale* piszę się i wszystkie sankcijonuję.

Tak ująwszy sobie, jak wnoszę, sowicie łaskę moich czytelników, natychmiast pośpieszam z niey korzystać, prosząc o przebaczenie, że zaraz na początku zamyślam ich wprowadzić w kompaniję, do którey zapewne nie przywykli: usłyszą tu może jakie wyrazy nie nader smaczne, które mogą niemiłe wspomnienia obudzić. Nie chciałbym ich narażać na nieprzyjemności; ale cóż począć kiedy wieczor jesienny, ciemny, drobnym deszczem i chłodną wilgocią do kości przenikający zaskoczył nas na błędney drożce w głębi boru? Nie ma na doręczu innego przytułku prócz nędzney chatki litewskiego włościanina: musimy schronić się pod strzechę mizerną.

Któż choć raz w życiu z potrzeby, przez litość, albo przez ciekawość nie zayrzał do tych bud, częstokroć wpół zgniłych, które zowiemy chałupami włościańskiemi? Znane każdemu te sciany od połowy wysokości okopcone; ten tok wilgotny zamiast podłogi; to czarne stolowanie z otworem pośrodku dla wypuszczania dymu; ten kurny piec u drzwi niskich i ciągnąca się od nie-

go széroka ława, oparta o przeciwległą ścianę, służąca za łoże całey rodzinie; i w koło izby, przy ścianach, węższe ławy; a w rogu, na przekąt pieca, stół wązki, przykryty obrusem; i na nim bułka chleba, gotowa dla każdego, kogo Bóg do ubogiey chaty nadarzy. Taki jest jednostayny obraz mieszkań naszego ludu od Bugu i Niemna do Dniepru i Dźwiny.

W chałupie, do którey wezwałem czytelników, dym kłębami się toczył z pieca i napełniwszy wyższą połowę izby wylatywał przez otwór u środka pułapu. Przed stołem stał świecznik drewniany, znajomy pod imieniem dziada; łuczywa sosnowa do głowy jego poziomo włożona, rzucała czerwone światło na dwóch ludzi półwiecznych, siedzących za stołem.

Jeden żyd, w lisiey czapce, gęstą czarną brodą i krętemi ocieniony peysami, z całey twarzy ukazywał tylko nos orli i dwoje sępich oczu, któremi błyskał, bystro je rzucając już na flaszkę, trzymaną w ręku, już na towarzysza. Zapatrzył się nań w milczeniu, zdawał się ścigać jego myśli, a w obłąkanych spóyrzeniach widać było, że układał jakieś plany, jeszcze niedoyrzałe.

Towarzysz jego, włościanin, w grubey kapocie płócienney, gęsto łatauey, rozczochraną głowę opierając na ręku, wlepił oczy w stojącą przed nim czarkę; ale myśl jego nie musiała towarzyszyć oczóm: pochylenie głowy, z natężonym i osłupiałym wzrokiem, kazało wnosić, że włościanin w tey chwili nic nie widział i o niczém nie myślił. Tylko na twarzy jego płaskiey, marszczkami poradloney, wychudłey, okopconey, zatrzy-

mały się, jakby w wytłoczonych przez nawyknienie formach, rysy cięźkiey boleści wewnętrzney.

Na szerokiey ławce, blisko pieca, przed zawieszoną u pułapu kolebką, siedziała niewiasta, jednego prawie z włościaninem wieku, również ubogo pokryta płóciennemi łachmany, równie znędzniona. W milczeniu, pochyliwszy czoło, tylko niekiedy wznosząc ramiona, spoglądała na siedzących za stołem. Wzrok jey naprzemian roziskrzony, omdlały, ukosem po chałupie ciągnięty, albo nieco wzniesiony, odpowiedne poruszenie twarzy i nierówne rzuty kolebki, którą machinalnie kołysała, objawiały w niey walkę uczuć i naprzemian tłumione wybuchnienia gniewu, bojaźni, żalu i bolesnego duszy udręczenia.

Przed piecem stał, oparty na fuzii, strzelec w zielonym surducie myśliwskim. Naramienniki jedwabne utrzymywały z jedney strony, na czarnym sznurze, trąbkę w srebro oprawną, z drugiey, na podobnymże sznurze zawieszony rożek z prochem; z zielonego safianu pas z ładunkami ściskał wycmukłą postawę młodzieńca; od pasa wisiał jeszcze noż myśliwski z rękojeścią słoniową i srebrnemi u pochew guzikami.

Słotna noc musiała zmusić młodzieńca do szukania przytułku w tym domu; ani postać bowiem, ani ubior nie oznaczały żeby był jego mieszkańcem.

Ponuro i nieruchomie wpatrywał się w siedzących za stołem, a w pochyloney stale twarzy jego, w zmarszczoném czole, mocno ściśniętych wargach i w oczach surowych widać było, powściągane, lecz wewnątrz wrzące, nieukontentowanie.

Żyd, biorąc za rękę swego towarzysza, pier-

wszy przerwał milczenie—Nu! cóż móy kochaneczku?—

Włościanin spóyrzał na niego; lecz, nim odpowiedział, Żyd, postrzegłszy w ukośném spóyrzeniu przeciwną swemu żądaniu odpowiedź, podniosł rękę, i wahając głową, dodał śpiewającym tonem. — Nu! jaki ty głupi Tadeusz! kiedy twóy przyjaciel u ciebie nie dostanie, to dla kogoż ty żyjesz?—

— Ach! panie arendarzu! — ozwał się chrapliwym głosem włościanin, drapiąc się powoli oburącz w głowę — Dalbóg nie mogę WPanu oddać tey owcy. —

—Słuchay móy Tadeuszu, tylkoż ty mnie słuchay, słuchay! mówił napominając, nie pożałujesz. Ty wiesz, że ja nie chcę twojey krzywdy. Na co tobie jedna owieczka? —

— Jedna? podchwycił włościanin, było więcey, Bóg zabrał. —

— Czy ja nie wiem? oh! ale teraz co ty z jedney zrobisz? ani siermięgi, ani kożucha. Odday, móy gołąbku, odday, nie pożałujesz. Nu! już oddajesz? Na! wypiy jeszcze czarkę. —

— Ach panie arendarzu, nie mogę oddać. Z jedney będą jagnięta. . . .

— Co tobie śni się! przerwał Żyd, machnąwszy ręką. Wypiy tylko, wypiy. Ja twóy przyjaciel, lepszy niż brat, niż swat, niż oyciec rodzony. Ja wiem czego tobie trzeba, a czego nie trzeba. Nu! piyże, piy kochaneczku! —

—Zdrowie WPana! Ha! już ciężko w głowie.—

— Widzisz! ja dla przyjaciół nie żałuję dobrey gorzałki. To nie dworna! Nu! panie gospodarzu, pomoż-że mnie zabrać na wóz siano i owcę. —

— Panie arendarzu, jak sobie chcesz, siano twoje a owca moja. —

— Tadeusz! mówił Żyd, ciągnąc go za rękę, powiedź ty mnie, czy ty rozumny, czy głupi? Oy ty rozumny! tobie woytem być. Ty co powiesz, to jak pan kluczwoyt. Na! jeszcze wypiy po tey prawdzie. Już my z tobą i umrzem a będziem przyjaciółmi. Na! móy kochaneczku, piy, piy na zdrowie. —

— Zdrowie WPana, panie arendarzu, mówił uśmiechając się włościanin. Ha! mocna gorzałka! To nie dworna? —

— Gdzie tam! właśnie u tego głupca będzie dobra gorzałka. Ja chciałem żeby móy Dawid pędził we dworze; ale wasz bałwan przyjął innego winnika. To nie dworna. A smaczna? he? —

— Smaczna, panie arendarzu. Ależ ja wiele już u WPana napiłem. —

— Nie turbuy się kochaneczku: policzym się. Nu! owca moja a dwa garce gorzałki twoje. —

— Nie panie Abrahamie, tėy owcy WPanu nie mogę oddać. Na spowiedzi zaklątem się, że nie oddam; a Xiądz mówił, że Pan Bóg pobłogosławi jeśli nie będę pił i moja Katarzyna kiedyś znowu do krosien zasiędzie. —

— Spodziewać się z tobą! podchwyciła niewiasta u kolebki. Żeby tobie Pan Bóg nie pamiętał, jak ty wszystko marnujesz. Nie mamy czém na zimę otulić się.....

— Milczeć! krzyknął Tadeusz porywając się i z za stołu pięściami grożąc. Katarzyna umilkła, a on usiadłszy mówił do Żyda. — Ona prawdę mówi, patrzay, to cała nasza odzież na nas. Jak tu zimę przebyć? —

—Nu! móy kochaneczku, mówił śpiewającym tonem Żyd, weź kożuch od Dawida, żonie twojey dam siermięgę mego parobka; po wymłóceniu dasz mnie za to zboża; to i nic ciebie kosztować nie będzie; ja dla przyjaciół nic nie żałuję. —

— Kożuch znoszony, panie arendarzu, odpowiedział wzdychając Tadeusz, i siermięga już jak przetak. —

— Jakto! stara? przerwał Abraham, boday ja moich dzieci nie oglądał, kiedy ona jeszcze nie tak jak nowa! żeby mnie tyle lat żyć, ile ona mnie kosztuje; a potém, że pieniędzmi nie zapłacisz, tylko mnie dasz za nię zboża. —

— Nie wiele mam zboża; nie stanie i tak na chleb do nowego. —

— Oh! czy ja nie wiem ? mnié pytay się ile masz snopków, to ci na palcach wyliczę. A na co tobie zapas chleba? Nie stanie, to pan da. —

— Ogorzkło już to dawanie. Więcey batogów niż tych plew, co nam dają na pokarm. A potém człowiek odrobić się nie możesz za tę zapomogę. Ależ i tak nie stałoby mego zboża za WPana kożuch i siermięgę. —

—Oh! to nie kłopot: resztę odrobisz w puszczy. Ja na tę zimę zakontraktowałem ostatek pańskiego lasu: wytniem do ostatniego pnia. Pamiętasz Tadeuszu, że mnie winieneś dwadzieścia dni roboty w puszczy za tamtę gorzałkę, co to brałeś na chrzciny córki (*a verfluchter goy*). Ja zawsze twóy przyjaciel od serca. Owieczkę odday. —

— Panie Abrahamie, podobno tylko dziesięć dni umówiliśmy się? —

— Dziesięć, mówił powoli Abraham, nalewając czarkę, jeżelibyś mnie wypłacił do jutrzeyszego

jarmarku cztéry złote; ale że niemasz czém wypłacić, tedy za procent będziesz winien dni 20, jak sam obiecałeś. —

— Prawda, panie arendarzu, obiecałem i nie mam czém zapłacić. Bo zkądże mojey biedney głowie wziąść te cztéry złote? Pszczoły mnie ostatnie, po przeniesieniu na tę siedzibę przeszłey zimy odpadły; syn służąc we dworze zapłaty nie dostaje; lnu w tym roku nie miałem gdzie posiać.—

Na te słowa szlochania ciche Katarzyny ściągnęły na nię uwagę strzelca. Biédna kobiéta, postrzegłszy litość w jego spóyrzeniu, wstała powoli od kolebki, a przystąpiwszy do pieca, tłumionym głosem i ze łkaniem mówiła — Móy śliczny paniczu, mąż móy, skoro podpije, nie słucha mnie kiedy go proszę, żeby nie pił i żeby się nie wdawał z arendarzem. A ten oszust arendarz to jest pijawka, móy paniczu, pogubił nas do ostatniego — I łzy fartuchem ocierając dodała:

— Paniczu! przed Bogiem będziesz miał zasługę: pomoż mnie biednéy, żeby ten smok nie zabrał mi mojey ostatniey owieczki. —

— Uspokoy się, matko, mówił cichym głosem i wypogodziwszy czoło strzelec, przyrzekam ci, że owcy nie stracisz. —

Tymczasem Żyd powtarzał włościaninowi — Nadaremny twóy kłopot nieboraku; już tobie gospodarzem nie być; położysz głowę w tey nędzy; pan, jak wilk zgłodniały, szarpie wasze wnętrzności. —

— Ach! ach! — Z konwulsyynym jękiem odezwał się Tadeusz, opierając głowę o ścianę i przyłożywszy dłoń do czoła.

— Na co puszczacie tu tego żyda? rzekł strze-

lec do gospodyni, mąż twóy póki trzezwy może cię słucha? —

— Słucha, móy śliczny paniczu, odpowiedziała ze łkaniem niewiasta; lecz na nieszczęście żyd ten jest naszym arendarzem; gdybyśmy go nie puścili, udałby nas przed panem, że chowamy gorzałkę przekradaną. A do tego przyszedł tu pierwéy nimem ja wróciła z pańszczyzny. Zastałam męża już przy wódce. A taki brzydki ma nałog, że skoro jeden kieliszek wypije, to już mnie ani odezwać się: zaraz bić. A przecież i ja mam rozum i lepszy od niego: bo gorzałki nie pijam. —

— Prawdę powiedziałaś, matko, bardzo dobrze robisz, że gorzałki nie pijasz. Bądźże spokoyna: daję ci słowo, że owca u was zostanie. —

— Day jeszcze czarkę. Rzekł Tadeusz odsłaniając oczy, błyskające rozpaczą, tém straszliwszą, że jey nie towarzyszyła odwaga cierpienia.

Strzelec, zżymając pięści poruszył się naprzód i znowu się cofnął, ponuro spozierając na żyda, który powoli nalewał czarkę i kiwając głową mówił — To egipska niewola nad wami. Wszyscy oni tacy. Pastwią się nad biednym ludem. My tylko wasi przyjaciele. Na, piy kochaneczku. —

Katarzyna zdała się tego nie uważać, poprawiała w piecu, rozdmuchiwała ogień i odchyliwszy się, nieco spokoynieysza, mówiła do strzelca:

— Jeżeli WPanu daleko do domu, paniczu, to lepiey tu przenocować, niżeli po dżdżu tłuc się po puszczy. Niedawno mojey świekrze Dorocie bies zaskoczył drogę, kiedy nocą powracała z pańszczyzny i potém ledwo do dnia mogła do chaty powrócić. —

— Jednakże wróciła? mówił, obróciwszy się

do niey z roztargnieniem strzelec. Nie takto musiał być zły ten bies. A jakże on wyglądał? —

— Strzeż Panie naszey duszy, odpowiedziała żegnając się Katarzyna. Zwyczaynie jak Niemiec. A Łucii przy samym moście co ze dworu......

— Nie lękam się strachów, matko; ale na noc u was chciałem sam zaprosić się: gdyż dzisiay niepodobna mi już dostać się do Zacisza. —

— Ach paniczu! to waszeć panicz z Zacisza! a arendarz, widząc jak waszeć paniczu przychodziłeś, mówił, że musisz być strzelcem pana jenerała z Podjezierza. —

—Nie zna mnie, i ty nic nie mów, kto jestem. Tey pomyłce może będziesz winna ocalenie twey owcy. Gdyby arendarz wiedział, że bywam u waszego pana, możeby znalazł inny czas lub mieysce do wyłudzenia jey u twego męża. —

— Ach paniczu, zmiłuy się, ratuy nas! Ta gadzina zjadła już moję jedyną krówkę, którą mąż za bezcen wiosną przedał mu na podatki. Nie mam czém dzieci pokarmić. A teraz chce wydrzeć ostatnią moję owieczkę, ostatnią moję nadzieję, którą sama wyhodowałam .... Ale cóż WPan będziesz jadł, paniczu? uparzę kartofel.....

— Dziękuję ci, matko. Co to jest? mówiłaś mi wprzódy, że u was w domu nie ma więcey nikogo, a ja słyszę huk żaren jakby w świeronku. —

— I ja słyszę jakiś huk; jednakże to nie może być huk żaren: bo nasz pan kazał nam pozabierać żarna, żebyśmy mleli u arendarza, i sąsiada żadnego na tey pustyni nie mamy. Święty Antoni! to ktoś jedzie! zawołała, musiał ktoś zabłądzić po tych dróżkach w borze, które porobiono wywożąc drzewo do spławu; albo to może pan ekonom. —

Na ten wyraz *ekonom* razem porwali się od stołu Abraham i Tadeusz, który, na nowo przynaglany namowami arendarza, już już miał przystać na oddanie mu owcy. Włościanin nadstawił ucha, i, słysząc wyraźny już turkot kół, wybiegł za drzwi; żyd, zatknąwszy śpiesznie butelkę, schował ją z czarką do kieszeni pod płaszczem; żwawo zgasił łuczywę i dwóma susami już był na piecu, zkąd krzyk dwoyga dzieci obwieścił, że za niemi schronienia szukał.

— Jak boi się ekonoma! szeptała Katarzyna do strzelca: bo nasz pan nie dawno przykazał, żeby żyd po nocy nie jeździł do włościan. A ekonom to *drugi* pies; raz już go złapał był u Andrzeja i obłowił się nieźle. Oy dayże Boże! sama skinę gdzie zaszyła się ta jaszczurka. —

— Katarzyno! ognia! prędzey ognia! dał się słyszeć z podwórza trzęsący się głos Tadeusza, potém kilka głosów niewyraźnych i skrzypienie wrót, a na końcu turkot wchodzącego na dziedziniec pojazdu i rżenie koni. Katarzyna, zapaliwszy łuczywę, podała ją przez okno Tadeuszowi.

POEZYA.

Wyjątki wierszy niektórych z przekładu przygotowanego do druku Listow do Zofii o Fizyce, Chemii i Historyi Naturalney.

1.

Uczczenie pamiątki

Ofiar szlachetnych poległych pod Lugdunem (*Lyon*) w czasie rewolucyi francuzkiey.

Chwała polom, gdzie mężów dzielnych wierne roty,
Rozwinąwszy chorągwie w imie święte cnoty,

Przeciwko króloboycom wściekłym z bronią biegły,
I za Boga, Monarchę, Oyczyznę poległy!
O nieszczęśni rycerze! świadki waszey chwały,
Te błonia, co w was tkliwych zwycięzców widziały,
Uyrzą, jak tłuszcza, niegdyś pokorna i drząca,
Głowy wasze katowskiém żelazem postrąca.
Jakże mszczą się za dzielność rozboynicze hordy!
Nie mogły was zwyciężyć, wydały na mordy.
A my powiewne trzciny, wichrami schylone,
Gdy nas pokoy na powrót sprowadza w tę stronę,
Gdzie pyszni z swych przeznaczeń, rycerze wspaniali,
Gasnące już spóyrzenia do nieba zwracali,
Zostawujem bez względu, na tém bojowisku,
Ich czcigodne popioły, wiatrom ku igrzysku!
Lemiesz oracza drogie poroztrącał szczęty.
Przebóg! czyż ten powrócił znowu czas wyklęty,
Gdy syn karmiony nędzą, sromotą i trwogą,
Niezdolny mścić się, widział śmierć rodzica srogą:
I na wozie katowskim, w obelżywey dobie,
Rzucał zwłoki, nie śmiejąc ze czcią złożyć w grobie?
Niebaczny! jakże twoja opłakana chwała!
Żeś zginął za Oyczyznę, ona zapomniała!
I wy także, wy matki tych ofiar niewinnych,
Coście przy ich kolebkach czuwały dziecinnych,
Tysiącem starań w drobney ośmielały trwodze,
Ocierały łzy; wiodąc potém w życia drodze,
Umiały wrażać cnotę, do męztwa zagrzewać;
I wyż, mogłyście przestać łzy po nich wylewać?
Lecz co mówię? Lugdunie, kraino rodzinna!
Potwarzam cię, kiedyś cześć odbierać powinna:
Nie, tyś nie zapomniała, ni twych klęsk ni chwały.
Oto słyszę, boleści głosy się ozwały.

Powstańcie wojownicy z prochu i perzyny,
I cieniem waleczności okryycie swe syny!
Jakaż tkliwość tym świętym śpiewom towarzyszy,
Które powtarza ziemia, a niebo je słyszy!
Te w błogiém rozmyślaniu kające się gminy,
Te po czcigodney ziemi rozsiane wawrzyny,
Ten przepych religiyny; Bóg, który z wysoka,
Obdarzył Lugdun zwrotem oycowskiego oka,
I uyrzał skruchę jego, u stop swych ołtarzy:
Te westchnienia, łzy, łkania, ta boleść na twarzy,
Te godła chlubnych zwycięztw, te radośne wrzawy;
Wszystko dzisiay zwiastuje powrot waszey sławy.
Już grobowców towarzysz, cyprys, nieodstępny,
Wśród nich, z powiewem wiatrów, chwieje wierzch posępny,
I wierzba łzawa, chyląc włosy na mogiły,
Spoczynku grobowego obraz stawią miły.
Daley krzyż, mąk pamiątka i srogich katuszy,
Przypomina w człowieku zmarłym wieczność duszy.
Klęcząca u stop jego, matka zapłakana,
Posyła jęk do niebios łaskawego Pana:
Wszystko tu jey bolesną stratę przypomina;
Drzewa, błonia, na których pożegnała syna!
Gdzie duch wznosząc do niebios, niepomni o sobie,
Powierzali ich pieczy oyczyznę w żałobie.

Niestety! w owym czasie, wiek mi niedóyrzały
Nie dał ani umierać, ni ich dzielić chwały.
O dniu godny zazdrości! o tryumfów chlubo!
Takto właśnie, z żywotem rozstawać się lubo!

Lugdunie! jeśli kiedy zgraje próżne wiary,
Pod twe wsławione mury, pomkną swe sztandary;
Chociażby, bez mogiły i czci, zwłoki moje,
Sępów i kruków miały paść zgłodniałe roje,

Poprzysięgam, że w boju prawica skrwawiona,
Stygnąc zasłaniać jeszcze będzie twe znamiona!
Ale precz mi ta żądza płocha i zbrodnicza!
Precz woyny okropności zprzed mego oblicza!
Lugdunie! oby pokoy szczęśliwy i trwały,
Nam i prawnukom naszym, niebiosa zesłały,
Oby mieszkańcy, biorąc za wzór swe pradziady,
W ubite przez nich cnoty wstępowali ślady;
A Religia, niebios posłannica tkliwa,
Nie rzucała tych murów, gdzie dziś przemieszkiwa!

2.

Melancholia.

Jey dumania są tkliwe: w samotney ustroni,
Kojąc swoje cierpienia, łzy nad niémi roni:
Ze smutkiem nierozdzielną, dola śmiertelnika,
Im dotkliwsza, tym sroższą boleścią przenika.
Ale niestety! często skryta, obłąkana,
Nie wie jaka jey serce zakrwawiła rana:
Przy spadającey wody łagodném mruczeniu,
Siedząc pod łzawą wierzbą, w czarnym czuwa cieniu.
Smutną i zamyśloną, noc przywabia głucha;
W jey ciemnościach, dalekich wichrów szumu słucha:
A szukając ulżenia wśród ponurey doby,
Zadumana, milczące zwiedzać lubi groby.
Tam otoczona śmierci łupami wokoło,
Modli się, nachylone wsparłszy o głaz czoło:
Wtenczas Nadzieja światłém nieśmiertelném błyska,
I oboknicy zaymuje żałości siedliska.

3.

Przedmioty godne pochwał poetyckich.

Gdyby mi bóg poetów użyczył natchnienia,
Gdyby swojém sprzyjaniem ożywił me pienia,
Rozgłosiłbym przed światem, uwielbień rymami,
Wsławionych śmiertelników twórczemi dziełami;
Mędrców, którzy gościniec rzucając ubity,
Nowemi szlaki doszli, po nowe zaszczyty.
Smiałbym, wraz z Kopernikiem, niebios przepaść zbadać,
Zatrzymać w biegu słońce, ziemi obrót nadać;
I tam gdzie gwiazd jaśnieje moc nieprzeliczona,
Scigałbym dumnym lotem wielkiego Newtona.
Opiewałbym tryumfy jego okazale;
Swiatło słoneczne w czystym skupiwszy krysztale,
I dzieląc na pierwiastki, przez sztuki potęgę,
Siedmiobarwną Irydy rozwinąłbym wstęgę.
Cofnąłbym, w bystrym biegu, dawnych czasow rzeki:
Całe, z przeszłości zwalisk podźwignąłbym wieki,
A śpiewając ich świetność, pomyślność, potęgę,
Dziejów wartych pamięci otworzyłbym xięgę.
Wystawiłbym cię godnie *Janie* złotorymny 1),
Z arfą króla-proroka, nucącego hymny;
W których, Przedwieczny sprawca i niebios i ziemi,
W jasność, jak w płaszcz odziany, dzieły opatrznemi,
Wyprowadza z nicestwa, zasłania od szkody
Ludzi, ziemskie i wodne, i powietrzne rody;
Lub z lutnią bolejącą na zgon córki srogi;
Gdyś się ze łzami pytał tey nieszczęsney drogi,
Którędy, do wrót śmierci trafiwszy przed laty,
Puszczał się w ziemię Orfey szukając swey straty.

1) Kochanowski.

Albobym ziemianina odmalował w tobie,
W błogiey raczey niż w świetney chcącego żyć dobie.
Symonidesa 2) w wieyskiey wydałbym zagrodzie,
Jak z fletnią Teokryta przy ucieszney trzodzie,
Niewdzięczność dla Dafnisa, i kamienne serce,
I niewzajemną miłość wyrzuca pasterce.
Sarbiewskiego, w auzońskich muz uczoném gronie,
Niezwiędłemi wawrzyny wieńczących mu skronie,
Kiedy, za ich rozkazem, przez *niezwykłe usta* 3),
Zdumionemu Rzymowi wracał wiek Augusta.
W przybytku Twórcy światów, i Pana nad Pany',
Stawiłbym *Skargę*, kiedy zgromadzone stany
Nauczał i zachęcał do ładu i zgody,
Wystawując nierządem upadłe narody,
I prorokował, świadom przez natchnienie wieszcze,
Zgon czasów, których pamięć dziś rozrzewnia jeszcze.

4.

Kobieta.

Jaką dostoyność, jaki blask wspaniały,
Bóg nad wszystkiemi rozciągnął światami!
Zaludnił przestwor jasnémi gwiazdami,
A wszystkie zgodnie głoszą jego chwały.
W bezdennych łożach zawarł oceany;
Dębem uwieńczył gór podniebnych ciemie,
Złocistém żniwem, rodne okrył łany,
W kwiaty ustroił karmicielkę ziemię.

---

2) Szymon Szymonowicz Bendoński *Symonidesem* przezwany.
3) *Et me latine non solitum loqui,*
Jussere Musae.
Sarbiewski.

Na niey postawion, za Twórcy rozkazem,
Człek, doskonałe dzieło jego ręki,
Zamożny w siłę, odwagę i wdzięki,
Pod moc swą podbił, ląd i morza razem.
Przedwieczny wszystkie wylał nań szczodroty,
Wszelką rozkoszą napełnił mu życie,
A oddalając smutki i kłopoty,
Straż przed ich zgrają powierzył kobiecie.
Wyszła podobna pogodnemu dniowi,
W piękność, ponęty, młodość, skromność stroyna:
Któż tyle razem urokow wysłowi,
Jakich Opatrzność nieskąpi jey hoyna?
Z ramion obłędnie włos jey długi spływa,
Nagość niewinną wstyd zacny okrywa,
Po tylu wdziękach prowadząc swe oko,
Jakże je w sercu człek wyrył głęboko!
Patrzeć na światy nie czuł w sobie siły;
Barwy wiosenne powab swóy straciły.
Nieświadom jaki bóg mu przewodniczy,
Oddał się cały kochania słodyczy.
Nastała miłość, a na jey skinienie,
Nowém jaśnieje życiem przyrodzenie.
Jakże w niey szczęścia, jak rozkoszy wiele!
Bogu kochania służmy przyjaciele!
On młodym leje słodyczy nektary,
A bez powrotu gdy z czasem uleci,
Dorastające ukazując dzieci,
Swém przypomnieniem odmładza wiek stary.
Jego są sprawą dni szczęsnych zadatki,
Przezeń oblicze uśmiécha się matki,
W nim są niewinnych rozkoszy skarbnice,
Jakich wśród pieczy doznają rodzice:

Jemu winniśmy krótkie nader chwile,
Przez które życia nie było ciężarem;
A gdy los radzi brzydzić się tym darem,
Dotkliwą dolę on łagodzi mile.

5.

Potrzeba korzystać z młodości.

Nie kochać, jest żyć samotnie w ucisku,
Kto kocha, ten wiek z drugim sobą dzieli,
Chcemyż to szczęście jedyne mieć w zysku?
Kochaymy póki czas głowy ubieli.

W młodości roskosz pociesza człowieka,
Troski natrętne nadzieja wypłoszy;
W podeszłych latach nadzieja ucieka,
A z nią pierzchają powaby roskoszy.

Wtenczas starości nieprzyjazney brzemie,
Pod lat ciężarem znużonych nas chyli;
Za nią śmierć idąc ukazuje ziemię,
Nie lat zazdrośna, lecz już krótkiey chwili.

Trzeba umierać! przed końcem żywota,
Widzimy, że świat o nas zapomina:
Wesołych schadzek i biesiad ochota,
Dla nas skończona, drugim się zaczyna.

Wtenczasto człowiek zwątpiwszy o sobie,
Za pierzchającym już światem nie goni;
Żegna go, westchnie, łzę rzewną uroni,
I swe nadzieje wszystkie widzi w grobie.

6.

Moc piękności.

Mędrzec na kwiecistey łące,
Niech słucha wody, co mruczy;

Niech się dziwi, niech się uczy;
Niech go zewsząd obrazy wabią czaruiące,
Które wystawia dolina:
Niech o wszystkiém wśrzód lubych marzeń zapomina.
Lecz jeśli w głębi łąki cieniste chłodniki,
Ukażą urodziwą Nimfę jego oku,
Zgrabnego ułożenia, wycmukłey postawy,
Biegącą, szczupłą stopką nie zginając trawy;
Pożegna się z mądrością dla tego widoku.
Nikną z oczu kraśne smugi,
Zieloney dąbrowy cienie,
I mruczącey wody strugi,
Pierzchnęło lube marzenie:
Badać, rozważać nie żąda,
Serce mu rozkoszą płonie,
I na przyrodzenia łonie,
Piękność jedynie ogląda.

7.

Przymierze.

Życie osładzać należy,
Które pędem strzały mija:
A więc niech filozofija,
Z wesołością się sprzymierzy.
Ja zawsze ulgę odnoszę,
Ze straty chwil, co ucieką,
Gdy obecność przez roskosze,
Łączę z przyszłością daleką.

Małżonkowie! wasze życie,
Szczęśliwém bydź nie przestanie,
Jeśli wiecznie sprzymierzycie,
Ze statecznością kochanie.

Piękności! chcecież szczęśliwość,
Chować zawsze w równey mierze?
Wiedzcie, że łączą w Cyterze,
Z wdzięków urokiem wstydliwość.

Epikura zwolennicy!
Którzy dla prędszey wygody,
Noc z dniem trawicie w piwnicy,
Nie kojarzcie z winem wody.
Za to miłość z Bachem karze;
Ten gdy chciał by Erigona,
Przyniosła mu rozkosz w darze,
Przemienił się w winne grona.

By wydać sprzeczności jawne,
Zbierzmy w jedno mędrce sławne:
A sojuż was, wieszcze młodzi,
Niech z czystemi muzy zgodzi.
Ach! póki nie wytchnę sobie,
Gdy rym jeszcze słucha głowy,
Mógłbym łatwo złączyć obie,
Rodu ludzkiego połowy.

8.

SŁAWA.

Sława na świecie próżnością jedyną,
Kręgi na wodzie, przy Zefira tchnieniu,
Rosną bez miary, w jedném oka mgnieniu;
Ale też same w wielkości swey giną.

9.

PRZYSIĘGA MIŁOŚNA.

Przez dzień jeden, i to siła,
Przysięga miłośna żyje;

Ledwo się wyraz, kocham, o ucho obije,
Uleciał na powietrzu, miłość się skończyła.
Zefir potęgę
Kochania głosi;
Niesie przysięgę,
I wnet unosi.

10.

Do mego protektora.

Kiedy ci wiersze lub prozę przynoszę,
Wiem aż nadto doskonale,
Że poświęcam mało wcale;
Lecz za to nigdy o nic cię nie proszę.

Oda *Horacego do Liguryna.*

Ligurynie! względami Wenery bogaty,
Chlubny wdzięczną urodą i młodości laty!
Kiedy cię zimna starość uymie w swe okowy,
I te włosów kędziory otrzęsie ci z głowy,
Gdy kraśnieyszy niż róża w punickiey krainie,
Rumieniec z twarzy twojey bez powrotu zginie;
Powiész wtenczas, ilekroć spóyrzysz w śkło źwierciadła,
Gdy postrzeżesz, jak twoja uroda przepadła:
Czemuż, kiedy w młodości latach zostawałem,
Takiey, jaką mam teraz, uwagi nie miałem?
Lub czemu, gdy wiek lepszym rozsądkiem mnie darzy,
Stracona młodość mojey nie wraca się twarzy?

X. A. Moszyński S. P.